

Słońce powoli zaczynało zachodzić nad Zarzeczem, otulając opustoszone wrzosowiska lekkim półmrokiem. Południowe wiatry nie odstępowały tej zachodniej krainy, ogrzewając ją mimo jesiennej pory.

Wśród tej ciszy i monotonii skrzyło gdzieś pomiędzy kępami traw i krzaków ognisko. Ogień mozolnie rozpalany z gałązek i mchu ogrzewał garnuszek z bulgocącym wywarem. Słaby odbłask padał na postać siedzącą na płaskim kamieniu w jego pobliżu.

Mimo skóry obsypanej szramami i bliznami sugerującymi na wiek dojrzały, był to człowiek młody, mający zaledwie od dwudziestu do dwudziestu czterech lat. Mimo muskulatury wydawał się nazbyt przygruby, ale nie oznaczało to, że obce są mu trudy podróży i nie tylko jej. Najlepszym dowodem na to była zbroja – której elementy wystawały z torby juczej.

Choć czasy były niespokojne nie miał przy sobie broni gotowej na każdą ewentualność. Najwyraźniej nie spodziewał się spotkać czegoś nieprzychylnego na odludnych wrzosowiskach – dlatego miecz także leżał gdzieś na ziemi przy torbach.

Ognisko mimo wszelkich starań rycerza nie przyjmowało chętnie wilgotnych badyli. Wydłużając przez to czas gotowania rosołu i oczekiwania, które zresztą zaczynało coraz bardziej drażnić wojaka. Po chwili mozolnego oglądania płomyków, postanowił przejść się kawalek po okolicy. Zataczając łuk wokół ogniska natknął się na swojego osiołka, który w poszukiwaniu zielenizny oddalił się znacząco od obozowiska.

– Jedz Monti, jedz! -odezwał się do osiołka, a po chwili dodał jakby sam do siebie. –
Lepiej żebyś miał siły, by przytargać dwie torby kłopotów przez dobre parę kilometrów.
Pogłaskał osiołka po czuprynce i oddalając się dodał jeszcze:

-Teraz w nocy powinno się lżej iść w lekkim chłódzie, niż w spiekocie dnia.
Krocząc powoli zaczynał zataczać pełne koło, gdy nagle jego wzrok utkwiał w czerwonej plamce na horyzoncie. Z początku myślał, że to tylko przewidzenie. Po prostu oczy odmawiały posłuszeństwa z przemęczenia, ale czym dłużej się przyglądał, to tym bardziej był pewien, że widzi zbliżającego się człowieka.

Człowiek na tej rozległej krainie to rzadkość – pomyślał – i to nie bez powodu. Nie wiedział kim on jest, ale jasne było, że niewielu z znanych mu osób, zapuściłaby się samemu przez tak duże połacie terenu.

– Pewnie sprowadził go na mój ślad dym z ogniska, które pali się od dłuższego czasu! – odpowiedział sobie w duchu rycerz.

Zaniepokoił się nieco tym przybyszem, ale mając za sobą rozterki przeżyte na wojnie, to ta wydała mu się po chwili lichą przygodą. Nie tracąc czasu poszedł do obozowiska – mimo wszystko powolnym i spokojnym krokiem, bo tamten mógł go już zobaczyć, a nie chciał go na wstępie niepokoić. Wracając, zahaczył jeszcze o osiołka, którego zaczął z daleka wołać i naganiać, by

wrócił z nim do obozowiska, ale osiołek jak to osiołek, był uparty i żadnymi naleganiami nie chciał wrócić na piaszczyste wzniesienie.

Gdy tylko znalazł się przy ognisku, zaczął pospiesznie pakować rozrzucone sprzęty, ubrania i inne elementy ekwipunku, spoglądając co rusz na horyzont skąd przybywał nieznajomy. Na końcu usiadł na kamieniu leżącym naprzeciw przybysza, i schował za tym głazem miecz – bądź co bądź nie chciał zaczynać znajomości od ostrza.

W miarę jak upływał czas, nieznajomy stawał się coraz bardziej widoczny przy świetle ogniska, toteż nawet nie próbował się kryć. Wtedy właśnie rycerz miał czas na przyjrzenie się owej postaci, która była nadal zbyt daleko by rozpocząć rozmowę.

Wojak uspokoił się. Jako pierwsze zauważył charakterystyczny szeroki kapelusz i czerwony strój. Jego uwadze nie mógł umknąć także wielki miecz wiszący na plecach – z którym jego niewielki mieczyk nie mógł się równać. Tak, był pewien kogo ma przed sobą.

– Chwała Stwórcy! – zaczął rycerz, gdy tylko ten zbliżył się wystarczająco.

– Teraz i na zawsze! – odpowiedział mu łowca czarownic.

– No, nie stójcie tak kolego. Przed wami pewnie daleka droga – powiedział zachęcająco gospodarz i pokazał miejsce obok ogniska.

Przybysz skinął potwierdzająco i przysiadł. Rozejrzał się dookoła jakby zagubiony. Bez słów spojrzał do garnuszka w którym bulgotał rzadki bulion z królika. Wyjął z torby na ramieniu kilka marchewek i dwa ziemniaki. Wrzucił je od razu do rosółu, a ziemniaki po niedbałym oczyszczeniu ze skórki, po czym uśmiechnął się do rycerza, odsłaniając ubytki. Młodzieniec także zmusił się na podobny grymas.

– Daleko droga prowadzi pana inkwizytora?

– Do Dalem – powiedział sucho, jakby ważył każde słowo z jakim może się podzielić z obcą dla siebie osobą.

– A faktycznie. Moja wina, zapomniałem że znajduje się tam jedna z waszych siedzib. Narada się zbiera?

– Możliwe.

– Ale swoją drogą to trochę dziwne, że waść takimi odstępami podróżuje.

– Spieszyło mi się, a najbliżej jest zawsze w linii prostej.

– Bez konia?

– Padł wczoraj.

– Ale nie spieszy się panu aż tak bardzo – spojrzał szybko wokoło za swoim osiołkiem. Obcy nie odpowiedział, mieszał jedynie rosół.

– A tak swoją drogą, nie miałem dotąd żadnych wieści z północy. A tam przecież walki są prowadzone. Chyba że jestem aż tak pozbawiony wieści, że koniec wojny przeoczyłem.

– A skądże, jakbym śmiał innym zabawę zabierać. Roboty tam jeszcze na dobre pięć lat. Marakcentycy to tylko jazda. Nie mogą utrzymać żadnego terenu na dłużej. Niespełna miesiąc temu pułk piechoty wraz z dwoma rotami łuczników przedarł się z pogromu, jaki nastąpił na wschodniej części stepu. Uciekli pościgowi i schowali się w warownej osadzie, taka wioska z najprostszą do bólu palisadą. Utrzymali się cały tydzień. Trzymając na odległość te kupy zbójów...

– Az nadeszła odsiecz i przegoniła watahy na północ. To akurat słyszałem. A co dalej? Gdzie dalej pójdziecie?

– To prędzej dowie się waszmość od swych kumów. Ja, zwykły rycerz, wprawdzie w stopniu dziesiętnika, ale nie mi znać kierunki ofensywy. No, jak rosół, bulionem już czuć? Członek świętej inkwizycji skrzywił się wyraźnie.

– Poczekasz waszmość przy takim płomyczku to nawet do pełnej nocy.

– Śpieszysz się? Jest czas... - od razu zdał sobie sprawę z bezcelowości pytania. - O widzi waszmość tę chmurę? O tę nad zachodzącym słońcem? Jakoś dziwnie wygląda przy reszcie i głowę dam, że przed chwilą jej nie było.

Przybysz spojrzał przelotnie na chmurkę i zakrył garnuszek pokrywką.

– Na wrzosowiskach tak jak w górach, pogoda szybko się zmienia...

– Co masz na myśli?

Z zapadniętego mroku wyłonił się osiołek.

- Monti, co się stało?

Nieznajomy wstał i założył na ramię podróżną torbę.

– Zbieraj manatki, wichura się zbliża.

– To idziemy razem – młodzian także wstał i ruszył ku torbom.

Zaglądając do otwartych sakw powiedział jeszcze:

– A właśnie, jestem Eryk Vistmal, z Andrewen – niedaleko Aquilim. Lennik Imperium Lazurowego Wybrzeża. A ty kolego, jak cię zwą?

– Ivor...

– Aha... Pomóż mi, jeśliś łaskaw wrzucić te sakwy na osiołka, coś trochę wierzga i jest niespokojny.

Na niebie grzmieć poczęło, zanim zdążyli wyruszyć w dalszą podróż. Burza się zaczęła, ale na szczęście nie tradycyjna, jaką pospolicie się widuje z deszczem, a piaskowa i do tego oddalona od dwóch podróżnych o parę mil.

– Groźna może być ta zawierucha? Wy, inkwizytorzy dużo podróżujecie, pewnie się z czymś takim spotkaliście?

– Ta, w Varancie można oryginalne burze piaskowe spotkać, a ta nie może się z tamtymi równać.

– Ale zgaduję, że i tak lepiej znaleźć przed nią schronienie. – Pierścień na palcu łowcy zabłysł bladym światłem. Ivor przyłożył sygnet do ucha i jakby nasłuchiwał.

-Spójrz tam, to jakiś zamek. Dalej Monti, chyba nie chcesz być pierwszym osłem, który stał na suchym deszczu!

Z ciemnych barw nocy wybił się jakowyś stwór szarawy, na niewielkim wzgórzu stojący. Dało się zobaczyć jego niewielką sylwetkę dzięki murowi zbudowanemu z białych, wapiennych bloczków. Z wzniesień tych górowały dwie strzeliste wieże. Trzecia zburzona, sięgała nieznacznie na wysokość porównywalną do murów. W zapadniętych już niemal ciemnościach, szarawy widok napawał oglądających o skojarzenie go z zamkami zamieszkałymi przez widma i duchy – jeśli oczywiście wierzyć w klechdy ludowe.

– Nie wygląda za ciekawie. - powiedział nieśmiało młodzieniec.

– Ale za to solidnie. Schronimy się w nim.

– Mamy wleźć do opuszczonej ruiny?

– Dach jeszcze stoi, więc za ruinę bym tego nie brał. Może waść tutaj zostać.

Młodzieniec spojrzał za siebie i zauważył, że tumany kurzu zbliżyły się już do nich, zakrywając kostki u nóg, a sama zaś chmura unosi się niebezpiecznie blisko.

– Wyboru raczej nie mam.

– Boisz się?

– Boję się jedynie niewiadomego. A właśnie o tym zamku nic nie wiem. Co za zagrożenia mogą tam czyhać?

– Na takich pustkowiach jak to, nie spotkasz dużego zwierza, bo po prostu z myszek i królików nie wyżyje. Spotkamy tam co najwyżej lisa bądź kunę... Nie... tutaj najwyżej głuszca można spotkać – a taki ptaszek do naszego rosołu by się nawet nadał.

Rycerz spojrzał na garnuszek z rosołem, przywiązany na stercie sakw. Nad osiołkiem zaczęła zanikać mgiełka pary wodnej.

– I odnowa będzie trza garnuszek rozpalać. Teraz to mnie już nic nie trzyma. Idziemy.

Trakt do zamku – jeśli takowy istniał – zanikł już dawno. Kuliste wzniesienie na którym stała warownia, najeżone było grudkami skał i dołów, jakby była to pamiątka po wielomiesięcznym oblężeniu.

Ivor przeklął paskudnie, gdy osiołek wpadając do jednego z zagłębień oblał go jeszcze ciepłym wywarem z garnuszka. Klepnął energicznie w zad osła, by pomóc mu w trudnym wyborze. Czy iść dalej wpadając w podobne dziury, czy zostać i poczekać, aż wszystko minie.

Zachęcony marchewką wyjętą z bulionu i żywymi naleganiami obu podróżniczych, osiołek w całej swej łaskawości poszedł dalej.

Gdy kurz sięgał im do kolan, stanęli przed bramą. A tak po prawdzie to przed żelaznymi okuciami wiszącymi na zawiasach, pod którymi leżało coś, co mogło być kiedyś drewnem.

Zajrzeli do środka na niewielki dziedziniec mający kształt szarganego trójkąta.

Sam zamek nie wyróżniał się żadnymi znacznymi cechami. Ot zameczek graniczny jakich wiele w górzystej Ambrani, czy na pograniczu stepu. Niewielki, na niewielką załogę. Bardziej zwiadowczy i komunikacyjny, niż obronny. A jak już przyjdzie co do czego, to odpiera dzielnie ataki dzikich hord północy, bo z zaciężnymi wojskami państwewek południa rodzi się swoisty problem. Nie na maszyny i na siłę oręża zbudowano te smukłe i niegdyś piękne mury. Jak nie była to siedziba jakiś bogaczy. Świadczy o tym najlepiej dwór stojący naprzeciw bramy.

Weszli do środka. Objawiły się przed nimi gołe ściany zamczyska. Wszędzie po majdanie walały się resztki dawnej świetności tego przybytku. Rycerz czuł się w tej ruinie nieswojo. Tym bardziej że na tle powybijanych okien, wyłamanych drzwi, tynku opadniętego ze ścian, sam dwór prezentował się nawet zadowalająco.

Eryk zatrzymał się przy dziurze, która kiedyś zapewne była studnią. Spojrzał w jej głębię, gdzie zauważył coś białego, może szarego. Nie wiedział czy to kości dawnego domownika, czy może księżyc wyłonił się już za chmur i jakimś dziwnym sposobem jego blask dotarł do studni.

Nie domyślił się rozwiązania. Jego zadumę przerwał mu łowca z osłem, gdy minęli go zostawiając samego w ciemnościach. Jednak jeszcze księżyc nie wstał.

– Ten dwór wygląda na najsolidniej z reszty kompleksu - stwierdził Ivor.

Eryk poszedł za usłyszonym głosem. Zobaczył towarzyszy w cieniu jaki rzucał mur obwodowy. Młodzieniec chciał coś odpowiedzieć, ale i tak zagłuszyłaby go wichura, jaka się teraz wzmogła. Łowca wyręczył go, dając mu znak by wraz z nim i osiołkiem wszedł do środka.

Frontowa brama była zaryglowana od wewnątrz, więc musieli poratować się jednym z wybitych okien części czeladnej. Młodzieniec by się nie zmieścił, ale inkwizytorowi jakoś się udało. Po chwili było słychać jak belka u wrót jest podnoszona i odrzucona na bok. W uchylonych wrotach pokazała się postać w czerwonym płaszczu.

Rycerz poszedł do wejścia, ciągnąc za sobą osiołka, ale czuł jakieś wewnętrzne opory. A to przez to, że w okratowanych okienkach – obok których przechodził łowca – Eryk zobaczył blade światło. Coś na gust tego jakie zaświeciło na pierścieniu Ivora.

Gdy za osłem zamknęły się drzwi, kurzawa na pewno sięgała już murów obronnych. Znaleźli się w podłużnej sali, gdzie nocne światło nie docierało.

– Niby cicho – powiedział gdzieś w ciemności rycerz – wichura nie dociera, a jak się rozpada to i nie zmokniemy. Ale mamy tak po omacku stać, stwórca jedyny wie jak długo?

– Skądże. Mam w torbie krzesiwo i łuczywo. Widziałem tutaj jakieś kawałki drewna, chyba z mebli lub okiennic.

– Zobaczyłeś? W tej ciemności? - Ponownie przypomniał się mu świecący pierścień.

– Tak. Przez okienka. Przez które księżyc świecił i teraz, gdy bramę otworzyłem. No nic. Rozpalam. Poszukaj już jakiś drewnienek.

Po kilku uderzeniach i jeszcze paru przekleństwach o handlarzach trefnego towaru, pojawiły się pierwsze iskry. Łuczywo zabłysło kojącą czerwoną poświatą.

Płomyk ognia zastał Eryka gramolącego się gdzieś na podłodze w rogu sali – a właściwie to podłużnego holu. Nikłe światło pomogło mu odnaleźć w pomieszczeniu niewielki stolik ledwie stojący na chwiejnych nogach, pod jednym z zabitych okien. Bez pomocy miecza młodzieniec roztrzaskał suche drewno na kawałki i przyniósł je do inkwizytora...

Ogień chętnie zajął się suchym drewnem.

Przy większym świetle Ivor dostrzegł metalowy stojak na doniczki, rzucony gdzieś pod ścianą. Jak nic była to pewnie robota Abrańczyków. Oni właśnie miłowali się w takich rzemieślniczych sprawach. Używając jej w nawet tak niespodziewanych dla nich aspektach życia. Stojak ów miał długie ozdobne nóżki i otwory na trzy doniczki z kwiatami. Stawiony w ogień idealnie nadawał się jako rozeń lub piec kuchenny. Położyli więc na nim garnuszek z bulionem, który po chwili znowu zaczął przyjemnie dla ucha bulgotać.

– To mi kompani nie uwierzą. Sucha burza i to na ziemiach, gdzie od traw zielono robi się przed oczyma.

– Może i zielono, ale tutaj ino piachy są. Nawet pasterze kóz i owiec nie chwalą sobie tych pastwisk. Taka lokalna anomalia. To co widziałeś nijak równać się nie może przed pustyniami Varantu. Tam to pod burzami wioski całe znikają.

– Wiesz Ivor, mam pytanie... Co to jest za pierścień?

– Ten tu... Nie przeczę, rzadko się takie widzi. Jest to swego rodzaju wyróżnienie.

Porównywalne do nadania herbu rycerzowi po bitwie. Metal z niego wytworzony jest nie tutejszy, ale nie warto dawać wiary o dziwnych i nadprzyrodzonych mocach inkwizycji.

– Rozumiem, po prostu dużo się słyszy.
– Wierzenia! Tak jak mówiłem. Eryku, nie będziesz zły, jak zostawię cię tu samego? Wiesz stary, tajemniczy dwór...
– Rozumiem, natura twego fachu nakazuje ci się rozejrzeć...
– Tak, powiedzmy, że ciekawość mnie rozpiera.
– Z Stwórcą. Mnie tam wcale nie ciągnie do chodzenia po starych kościach. Przypilnuję ognia i rosołu, o i osła także. Nie wiadomo kto tu może jeszcze przyjść. He he...
Ivor nie uznał sarkazmu za śmiesznego i bez dalszych ceremonii wziął swoją torbę, zrobił prowizoryczną pochodnię z jednej z nóg stolika i znikł gdzieś w połowie długości holu. Jeszcze chwilę było słychać rytmiczny krok przerywany hałasem otwieranych, bądź wyważanych drzwi.

W końcu nastała cisza. Nie licząc szumu wiatru za ścianą.

Po dwóch pacierzach na nowo z garnuszka wydobył się aromat zupy. Eryk odpoczywał właśnie, ani myśląc o penetracji starego kompleksu. Umilał sobie czas obserwacją ocalałych fresków, widocznych przy wrotach i gdzieś na ścianach. Były pewnie i w drugim końcu sali gdzie znikł Igor, ale ani myślał sprawdzać.

W ten jego uwaga padła na drzwi po lewej, skąd łowca przyszedł z części czeladnej by otworzyć wrota i gdzie prawdopodobnie zabłysnęło światło z pierścienia.

– Ani myślę pałętać się w nocy po zamku – pomyślał w duchu rycerz. – Będę pilnował i zajadał się rosołem.
Na potwierdzenie tych słów sięgnął po chochlę i po wymieszaniu zawartości garnka, spróbował nieco wywaru. Od razu pojawił się na jego obliczu grymas niezadowolenia.

– Tfu...Piasek! Wiatr tak nasypał... a pewnie te ziemniaki były brudne. Ale nic lepszego nie ma. Spróbował jeszcze raz, z tym samym efektem.

- Monti! - spojrzał bystro na osiołka – pilnuj kolacji.

Z wysiłkiem wstał, przypiął miecz do pasa, poszukał jakieś pałki na pochodnię. Zrobił dwie: jedną zapaloną, drugą wziął w zapasie.

Po niewielkiej krzątaninie ruszył do wejścia po lewej. Za nimi był korytarz, a dalej pokoje przeznaczone dla czeladzi i jak się okazało drzwi prowadzące na zewnątrz, które schroniły się przed nimi w cieniu murów obwodowych. Ale z grubsza nie znalazł nic ciekawego. Ot dwa pokoje, gdzie wciąż wyczuwalny smród wskazywał na sień, w której służba na zamku nocowała i podłużna sień, która miała namiastkę czegoś na wzór jadalni i salonu.

Tak więc rycerz czuł swoisty niedosyt z poszukiwań. Wrócił do holu i idąc za śladem towarzysza zapuścił się dalej w głąb zamczyska.

Drzwi, z których pozostały niemal same okucia i zawiasy, prowadziły do następnej sali. Tej zaś pochodnia nie mogła ogarnąć. Dało się wyczuć dużą przestrzeń przed sobą. Rycerz, niewiele myśląc, ruszył wzdłuż prawej ściany. W mroku wyłoniła się stalowa brama, uchylona nieco. Poprowadził przed sobą płonącą pochodnię, która wyłoniła w pomieszczeniu ławki ułożone w rzędzie. Niepewnym krokiem szedł przez środek kaplicy, aż dotarł do ołtarza. Tam odruchowo wykonał znak krzyża.

Jakoś świątynia, wyglądająca na sprofanowaną, nie zachęcała go do poszukiwań. Więc po obejrzeniu fresków i rzeźb zaczął się cofać z powrotem do wyjścia. Ale po drodze potknął się o kozuch. Po chwili dostrzegł, że po ziemi wala się więcej podobnych okryć. Parę z nich dostrzegł wcześniej, ale nie uznał skórzanego odzienia, za coś ważnego. Ot, element krajobrazu opuszczonego zamku. Lecz teraz pewne było, że nie jest to normalne.

Eryk, jak na młodego człowieka przystało, szybko znudził się rozmyślaniami nad tym, ale i tak postanowił skorzystać z kozuchów.

Ogień ze stosu materiału oświecił na krótko, lecz w zadowalający sposób pomieszczenie przed kaplicą. A było to nic innego jak środek domostwa, skąd korytarze prowadziły we wszystkie kierunki.

Szczere wyrazy uznania wzbudziła użytkowa rzeźba na środku tego pomieszczenia, zwana powszechnie schodami. Jednak słowo „schody” nie było wystarczające, bowiem przed wojakiem ukazały się dwie blade smugi wody, wytryskające z pietra i płasające między sobą, rozpryskując się na posadce. Marmurowa konstrukcja zachęcała nie tyle co do chodzenia, co do biegania między jej pływami. Ale wyjątkowo młodzian się powstrzymał i postanowił dokończyć wyprawę na parterze, a na deser zostawić sobie wyższy poziom zamku.

X X X

Gdy kozuchy zaczynały dogasać, Eryk wszedł do następnego pokoju. Przeznaczenie tego pomieszczenia nie było tak łatwe do odgadnięcia. W komnacie tej panował chaos. Wszędzie dookoła porozrzucone były szczątki drewna, płócien, a nawet okruchy murów.

Podszedł do dywanika, który o dziwo wyglądał na nietknięty kataklizmem. Dostrzegł na nim wzory, znaki, coś, co tam napisano... Uznał to za ważne i zbliżył się jeszcze bardziej. Za blisko...

Gdy przyklęknął na kobiercu, by dokładniej przyjrzeć się pismu, usłyszał głośny trzask pod sobą i ziemia pod nim się zapadła. Leciał chwilę, aż wylądował na czymś twardym. Impet lotu ugiął go w kolanach i przechylił do przodu. Znowu był w powietrzu, ale tym razem krócej.

Przed ponownym upadkiem próbował się uchronić szukając jakiegoś zaparcia, ale nie znalazłszy go, przechylił się jedynie nieco w bok. I całym sobą zarył w coś twardego, może marmur lub o inną skałę. Teraz tylko się turlał, wałąc ramionami o kanty skał i obcierając głowę

o ścianę. W końcu wylądował na podeście, gdzieś w dole. Leżał rozłożony na ziemi. Pojękiwał cicho. Niedaleko obok płonął ogień.

– Ki diabeł? - wymamrotał rycerz, gdy doszedł po części do siebie.

– Zwą to schodami – odezwał się ktoś stojący za nim.

Eryk powoli spojrzał do góry i zauważył płonącą gdzieś na górnych stopniach pochodnię. Natychmiast przechylił się na mniej bolący bok i wyteżył w ciemności wzrok. Ujrzał tam uśmiechniętą, lecz przede wszystkim bladą twarz. Aż za bardzo bladą.

– Schody – powtórzył niski kościotrup – myślałem, że taki wymysł jest wszędzie znany.
Chyba, że w twoich stronach zamiast nich budują pochyłe korytarze.
– Yyy... nie, takie nowinki dotarły tam, skąd pochodzę.

– Właśnie, ktoś ty?! – zapytał nieco rozweselony trup krasnoluda, prezentując przed rycerzem masywny topór.

Młodzieniec lustrował chwilę osobliwego przybysza. Zrobiona naprędce pochodnia leżała gdzieś na schodach, a niewielkie ognisko tłące się na piedestale obok dawało nieznaczne oświetlenie, toteż nie zobaczył niczego więcej niż szkielet, obrzucony resztkami ubrań i mięsa.

– Któż ty? – wycharczał nagle strażnik – Przyjaciół, czy wróg? Gadaj, jeno prędko!

– Nie znam ani jednego ani drugiego.

– To co tu robisz?

– No, zwiedzam.

– To widać, że nie wróg. Za głupi by pchać się prosto na mój topór. Chodź! - wartownik odwrócił się i poszedł gdzieś w głąb lochów.

W ciasnym pomieszczeniu rozchodził się stukot uderzanych o posadzkę kości.

Młodzieniec niechętnie wstał. Kulejąc, nawoływany przez wartownika, poszedł korytarzem do sąsiedniego pokoju. W nim to zobaczył resztę żywych trupów. Na jego widok przerwali swoje codzienne prace. Dopiero wówczas zauważył, że wszystkie klingi i brzeszczoty są naostrzone i przygotowane do walki. Cała reszta wyposażenia i samo pomieszczenie wyglądały na stare i zaniedbane.

Nieco to zaintrygowało a i zaniepokoiło Eryka. Tak bardzo, że nie zauważył innych dziwnych rzeczy, takich jak wszędzie panująca wilgoć, czy samo różnorakie uzbrojenie trupów.

Ku zadowoleniu żywego człowieka trzecie pomieszczenie okazało się ostatnim.

Wartownik zatrzymał się przy kratkach, które były pewnie celą. Wejście do niej było wyłamane.

Mimo trzech ognisk palących się na kamiennych piedestałach, w sali panował półmrok.

– Oto markiza de Lannciana z Bodrem – przedstawił strażnik. - Markizo to jest...

– Eryk Vistmal, z Andrewen – dokończył młodzieniec po paru sekundach ciszy.

– Dawno nie mieliśmy gości - zza krat dobiegł go pociągający, kobiecy głos – a szczególnie tak znamienitych. Czym zawdzięczam twoją gościnę?

– Mówi, że zwiedza – powiedział wesół krasnolud.

– Nie słyszałam, żeby młodzieź pociągała tak bardzo penetracja starych i ukrytych lochów – osoba ta dała nacisk na słowo „ukrytych”.

– Proszę o wybaczenie markizo. W tym zwiedzaniu pogubiłem się nieco. Przypadkiem tu się znalazłem, ale już odchodzę. - miał młodzian zamiar odwrócić się i biec, ale jakoś nie mógł.

– Nie frasuj się przyjacielu. Gość w dom, Bóg w dom. Rozgość się.

Młodzieniec słyszał głos dobiegający za krat, ale za nic nie mógł dostrzec ich autorki.

Przypomniał sobie o zapasowej pochodni zatkniętej za pas. Wyjął trzonek i podszedł do jednego z piedestałów. Podpalił materiał na końcu pochodni i podszedł do krat.

Dodatkowa poświata odsłoniła przed nim istotę kobiecą, przybraną w długą suknię, lecz jak reszta świty i

ta postać była nieżywa. Światło pochodni odbiło się od czegoś na szyi. Gdy się przyjrzał, dostrzegł pomiędzy pojedynczymi siwymi włosami złoty wisior, mający kształt dużego koła. Wetknięte w niego były cztery kryształy, z czego jeden świecił słabym, bladym światłem. Wzdłuż brzegów amuletu był wygrawerowany jakiś znak, może herb.

– Markiza?

– Nie, tutaj jestem – powiedziała wesołym, dziewczęcym głosem.

Młodzieniec spojrział obok. W rogu celi, na niewielkim krzeselku siedziała blada postać, wręcz prześwitująca. Była podobna do tej stojącej obok.

– Pani nie żyje?

– Nie! Skąd ci przyszło to do głowy? Po prostu jestem czasowo poza swoim ciałem.

Rycerz spojrział jeszcze raz na truchło obok.

– Poza tym ciałem?

– Tak. Czas robi swoje, ale podtrzymuję je jeszcze magią. Inaczej dawno by się rozpadło.

– Jak to się stało? Można pani jakoś pomóc? – Młodzian spojrział w jej oczy. Dziewczyna zachichotała wdzięcznie.

– Jaka ja tam pani. Lancii po prostu.

– Coś tobie pan... Lancio zagraża? – chwycił odruchowo za miecz.

– To długa historia, ale jeśli chcesz posłuchać, to słuchaj. Wieki temu, gdy na Zarzeczu ludzie się dopiero kolonizowali, natknęli się na różne stworki, z którymi się w różnym stopniu zasymilowali. Z początku krasnoludcy kupcy i gnomi rzemieślnicy byli bardzo potrzebni koloniom, by urosły w siłę. Ale później, gdy na Zarzeczu wykształciły się państwa takie jak Abrania, to... No wiesz, po co bawić się w rywalizację, jak można pozbyć się problemu u źródła. No i krasnoludy, gromy, gnomy i inne stworzenia były przepędzane. Tu, gdzie stoimy, był kiedyś krasnoludzki dwór. Służył jako placówka handlowa. Karawany kupców startujących z klanów Wilka lub innego thiagu miały tu swoją bazę, przystanek w podróży.

Ale moja babka, ze swoją bandą najemników, zajęła ten dwór. Król Manesatu uznał jej to lenno. Tu wybudowała mury i stąd gnębiła karawany. Ci tutaj – wskazała na krasnoludy, które zgromadziły się właśnie w pomieszczeniu - należeli do karawany, która jako jedna z ostatnich opuszczała Zarzecze. Moja matka kontynuowała politykę babki i to jej najemnicy schwytali te istoty. W kaplicy zamkowej był proces. O co ich oskarżyli, to nie pamiętam, ale wspominam, że ich przywódcy zostali tam straceni, a resztę stłoczono do lochu. Mieli oni zostać także wymordowani, nie mogłam na to pozwolić!

– Wejście do lochu było ukryte w pokoju, pod dywanem?

– Tak, babka była dziwna i lubiła dyskrecję.

– Pod tobą załamała się drewniana kłapa – dodał wartownik – nie dziwota, po tylu latach drewno słabnie.

– Matka – kontynuowała Lancia – była inna. Miała zdolności, które też odziedziczyłam.

Ale trzymałam to w ukryciu i podpatrywałam, gdy matka trenowała. Gdy ich stłoczyli, jak by było do lochu, wzięłam amulet matki – wskazała na żółty medalik zwisający na trupim karku – on dodaje mocy, wzmacnia tych, którzy mają dar. Podobno ktoś przed matką zaklął w ten amulet kogoś, kto posiadał moc.

– Co stało się w lochach?

– Matka dostała furii. Była wtedy na dziedzińcu. Użyła całej mocy jakiej posiadała i wysadziła studnię.

Woda dostała się do lochu i utopiła wszystkich.

– I ciebie też?

– W porę się spostrzegłam. Ten amulet potrafi być pożyteczny. Zrobiłam blokadę, tamę za którą schronili się ci, których właśnie widzisz. Przeżyliśmy, ale na szczęście nie zapomniałam ustawić pola siłowego, przez którego żaden człowiek nie przejdzie.

Matka nas przeklęła, a chwilę później tama nie wytrzymała i zginęliśmy. O dziwo urok związał nas z tym miejscem i nie pozwala nam stąd pójść. To i matkę przeklęliśmy. Obie tkwimy teraz w tym zamku. Los chciał, że coś się na górze stało. Napad, bunt, nie mam pojęcia, ale matka zginęła i została tu na wieki. Ona czyha, czuję ją. Jest nad nami, w jadalni, już od paru lat. Wejść nadal nie może, udało mi się wprowadzić zmiany w polu, które nie pozwala jej wejść w postaci ducha, więc jednocześnie sama wyjść nie mogę.

– Dobrze że u mnie, w Laurowym Wybrzeżu, nie ma takich problemów z odludziami.

– Nie ma, bo jest to nadal kolonia, nowo co powstała zresztą.

– Ma tytuł „Imperium” i dorównuje innym państwom.

– Tak? Który jest rok?

– Tysiąc trzysta sześćdziesiąty szósty.

– Hm, może i prawda, że trochę czasu minęło.

– Lancio, powtarzam pytanie: jak mogę ci pomóc.

– Najprościej byłoby pozbyć się matki. Wtedy będę mogła skupić się na ciebie i powrócić do niego.

– Mogłabyś i żyła jak sprzed laty?

– Tak, drogi Eryku.

X.X.X.

Uchylające się drzwi do jadalni wpuściły nieco światła do środka. Za strumieniem jasności pokazała się postać w kapeluszu i w czerwonym płaszczu.

Długo chodził po zamku, a w szczególności po piętrze, gdzie spodziewał się znaleźć ducha. Lecz nigdzie się na niego nie natknął. Czekał więc, aż pierścień przywróci swą moc i wskaże smugą światła miejsce, gdzie zjawia się ukrywa. W końcu tak się stało i wskazał odpowiednie drzwi.

Jadalnia była przestronna. Naprawdę duża w porównaniu z resztą zamkowych pomieszczeń. Szedł powoli, po drewnianym parkiecie. Ciszę przerywała tylko wichura na dworze i stukanie butów. Gdy doszedł do stołu, który ciągnął się niemal przez całą długość sali, przystanął i nasłuchiwał. Z mroku doszło do niego cichutkie chlipanie. Wskoczył na stół i po jego drugiej stronie pierścień oświetlił ciemną postać ducha, ubranego w żałobne barwy. Widmo klęczało na podłodze i szlochało nieznaczenie. Strumień światła wskazywał tę postać, tylko o dziwo zamiast padać na twarz, oświetlał bardziej dolną część ciała.

Łowca odrzucił torbę na blat stołu.

– Kim jesteś? -cisza. -Podaj swoje imię. Gadaj! Ścierwo potępione, gadaj! -wrzasnął Ivor i sięgnął pod płaszcz, wydając stamtąd rękojeść.

Za rękojeścią pociągnął łańcuch. Łowca zamachnął się głęboko i smagnął biczem w widmo. Duch zareagował. Odbił swą mocą łańcuch.

– Imię!

Duch spojrzał na niego swymi pustymi oczyma.

– Morin.

– Ja Ivor, Bicz Stwórcy. Nakazuje ci...

Duch poderwał się z ziemi i rzucił na inkwizytora. Ten zasłonił się zamachnięciem łańcucha i uszedł w bok. Na końcu bicia był pojemnik z dziurkami. Łowca zamachnął się raz jeszcze i z dziurek wytrysnęła ciecz. Oparzony duch wydobył z siebie donośny ryk, a później skomlał jedynie.

Ciemna postać uniosła się ponad stół i poczęła zbliżać się do Ivora. Ten cofał się.

– Co tu robisz Morinie? Czemu straszysz?

Nie czekając na odpowiedź Pobiegnął nagle do przodu. Wymówił w myślach zaklęcie i okrył się szczelnie płaszczem. Zjawa wskoczyła prosto na niego i poparzyła się od żółtej poświaty, która nagle się pojawiła na płaszczu.

Pierścień zaczął gasnąć. Następna niema komenda i łańcuch rozświetlił się czerwonym światłem. Inkwizytor kręcił nim okręgi przed sobą. Przybliżył się parę kroków do ducha.

– Za co po ziemi stąpasz – zjawa podniosła się z klęczek i przybrała zgarbioną pozę.

– Ja, nic... cierpię za grzechy córki. Przejęła po mnie zdolności magiczne. Uczyła się z obserwacji ćwiczeń... Podejrzewałam to, chciałam coś zaradzić, ale ona mnie uprzedziła.

Duch cofnął się przed zbliżającym się łowcą.

– Co zrobiła córka?

– Ukradła, ukradła mój medalion. Amulet, w którym jest zawarta moc, magia wyrwana z jej wuja.

– Co zrobiła później?

– Poszła do jeńców i chciała ich uwolnić... wzmocnić i się mnie pozbyć. Stać się nekromantą nad nekromantów. Chciała wchłonąć także moją moc...

– Giń, przepadnij! Alete mendo done. Akys akys!

Przyspieszył obracanie łańcucha. Postąpił krok i z potężnym zamachem uderzył ducha tam, gdzie miał niegdyś głowę.

Mieniające się ogniwa przeszły przez ciemną postać i uderzyły z hukiem o blat stołu.

Markiza, przerażona, uskoczyła z opóźnieniem w tył. Zastygła na chwilę, po czym zaczęła się śmiać.

– Ja głupia... ha ha... Na starość dziury w pamięci się powiększają... ha, ha.

– Arendo deo kos! - Inkwizytor w rytm psalmu dosięgał ducha łańcuchem.

Zbliżył palce do pierścienia. Wymówił na głos zaklęcie i zaczął zbierać moc. Wokół klejnotu kłębiła się jasna poświata. Duch stanął przed nim. Ivor celował, by pokierować strumień zaklęcia prosto w zjawę. Duch ostatni raz zaśmiał się.

– Nie, nie. To nie ta strategia. Ja nie potępiona, jeno przeklęta.
Łowca strzelił. Duch rozłożył ręce, otworzył pysk i skoczył. Oświetlona postać widma, wtopiła się w ciało inkwizytora.

X.X.X.

– W takim razie Markizo, jak mogę pomóc?
– W mojej alkowie są sprzęty, które ukryłam przed matką. Przynieś mi wszystkie szklane fiołki i zawartość zielonej skrzynki. Są one schowane w... Co to za zawierucha?
Do pomieszczenia wpadł trup, któremu za odzienie służyła jedynie przepaska ze zmurszałego płótna.

– Pani Markizo! Ktoś do lochu wlaź! No nie stójcie tak, zróbcie coś!
Po chwili zwłoki w sali nastał zamęt, który wraz z biegnącymi krasnoludami i dziedziczką na czele, przeniósł się do sali obok.
Młodzieniec obudził się z osłupienia trochę później. Kuśtykając z obnażonym ostrzem doszedł do reszty z pewnym opóźnieniem. A tam akcja już się rozwijała. (do poprawy)
Postać przybrana w czerwony płaszcz, wirowała w tańcu ciosów. Smagała kościotrupy biczem zrobionym z łańcuchów. Na jego brzegach mieniły się niebieskie znaki.
Pierwsza fala obrońców została rozbita. Niektórzy zataczali się poparzeni dziwną cieczą.
Za każdym razem na ziemię padały nowe szkielety i nie wszystkie wstawały na nowo. Gdy już wstały to jedynie po to, by zostać rażonym powtórnie.

Duch miał być drugą falą obrony. Wpadł między zwalone kości i rozpoczął czary. Lochy oświetliły się jaskrawymi kolorami. Różnobarwne płomienie szły w dwie strony.

Nowo przybyły wydawał się niewzruszony furią kobiety. Na czary odpowiadał czarami.
Co zdziwiło bardzo Eryka, bo jak powszechnie wiadomo inkwizytorzy posługują się jedynie prostymi zaklęciami, a Ivor posługiwał się ich całymi kombinacjami.

Nadal niewzruszony wzmocnił łańcuch i tak smagnął ducha, że aż markiza cofnęła się do samych drzwi. Po drodze wleciała na rycerza, a temu wydawało się, że widział coś więcej, nie prześwitujące ciało ducha. Bynajmniej chciał już podnieść wyżej miecz i kuśtykając dopaść łowcę.

– Eryku nie! Chodź za mną!
Posłusznie odwrócił się od człowieka, który w pojedynkę rozłożył ponad tuzin zaprawionych w boju wojowników i powlekl się za kobietą.

– Za mną! -powiedziała Lancia, tylko tym razem do trupa w celi. Ten także potulnie przyjął komendę. Szli dalej, korytarzem którego nawet młodzieniec nie zauważył.

– Pociągnij za wajchę!
Eryk wykonał polecenie.
Mur w jakimś zakątku lochu poruszył się. Weszli do środka. Po chwili kroki pościgu zostały zagłuszone przez szum burzy piaskowej. Tajne przejście kończyło się kamienną bramą i nadal solidnym kołowrotem.

– Szybko, otwórzcie bramę!

Rycerz wraz z trupem chwycili za uchwyty i wprawili ustrojstwo w ruch. Koła zębate zagłuszyły doszczętnie kroki nadciągającego Ivora. Tylko duch go wyczuł. Posłał parę barwnych strumieni w jego kierunku i znowu ponaglił pracujących.

Wrota uchyliły się wystarczająco by pod nimi przejść. Przemieścili się wszyscy.

Na dworze szalejące wiatry nie dawały spokoju. W powietrzu latały całe tumany kurzu i drobniejszego piasku. Gdzieś przeleciał obok pojedynczy, kamienny pocisk.

Znaleźli się na obrzeżach zamku. Duch w kurzawie prowadził rycerza w kierunku wrót zamkowych.

– Lancio! Nie dam rady! Biegnij beze mnie, spróbuję go nakłonić, spowolnić.

– Zapomnij, nie zostawię cię!

Coraz wyraźniej było widać zbliżające się, niebieskie znaki.

– Zginąłbyś marnie. Nie da się go tak zabić.

– To jak? - mimo trudnień spojrzał w jej oczy i wbrew sytuacji uśmiechnął się życzliwie.

– Eryku? - markiza zbliżyła się i objęła rycerza prześwitującymi rękami – Zależy ci na mnie?

– Tak.

– To wybacz mi...

W kurzawie pojawiło się blade światelko wydobywające się z pierścienia, które ledwo zauważalnym strumieniem dotarło do ich dwojga.

– Do zobaczenia, kochany.

Zjawa z potwornym okrzykiem zatopila się w ciele rycerza. Jednocześnie trup dziedziczki opadł bezwładnie na ziemię. Po pewnym wahaniu rycerz podszedł do trupa i podniósł z jego rozrzuconych resztek złoty amulet. Założył go na szyi i od razu poczuł przypływ mocy.

Mrok nocy rozświetlił jaskrawy pocisk. Z głuchym hukiem odbił się od rycerza.

Wojownik powoli, z ociąganiem ustawił się twarzą do przeciwnika. W mroku dostrzegł ciemną postać, ale poza nią dostrzegał coś więcej. Między jego rękami pojawił się jaskrawy promień mocy, przypominający nieco małą tęczę. Manipulował nim, aż w końcu przekierował go w stronę łowcy czarownic. Strumień sparaliżował go i porządnie nim zachwiał. Zanim się przewrócił i spadł w dół zbocza, ta mała tęcza wyciągnęła coś z niego. Coś czarnego, coś co wrzeszczało głosem, od którego naprawdę uszy więdły.

Ciemna postać popłynęła prosto do amuletów. Zaświecił się drugi z czterech kryształów na wisiorze. Markiza uklękła i poczęła głośno szlochać.

X.X.X

Gdy obudził się było niemal tak ciemno, jak wtedy, gdy stracił przytomność. Jedynie niewielkie ognisko rozświetliło inkwizytorowi pomieszczenie. Z lekkim wysiłkiem rozpoznał hol prowadzący w głąb dworu. Zanim zebrał siły by się podnieść, obszukał kieszenie, czy czegoś nie brakuje w ekwipunku. Poza torbą niczego nie brakowało. Dopiero teraz zauważył osiołka skulonego u drzwi frontowych przybytku. Był już obładowany sakwami i wyraźnie

zaniepokojony. Gdy zbliżył się do niego, zwierzę nieco się uspokoiło. Po chwili znalazł w jednej z sakw swoją torbę.

– Monti, gdzie jest pan?

Osiólek pokręcił przecząco głową. Pierścień na palcu łowcy oświetlił wyłamane drzwi prowadzące do środka zamku.

– Czyli to nie koniec...

Do jego pamięci doszła jeszcze mglista scenka z wieczornej gonitwy i o dziwo także rozmowa Eryka z Lancią.

– Dziwna to rzecz, gdy w jednej istocie zarówno dużo dobra i zła się mieści. I zarówno dziwna jest rzecz, jakim prawem natury człowiek rycerski i ślepo oddany dawnym ideałom, taki jak Egryk, przetrwał do naszych czasów. Ale nie martw się ośle jeden, to nie koniec. Ona wybrała... Chciała by wilk był syty, a owca cała, ale wiadomo że rzadko się tak dzieje... Tak wybrała karierę nekromanki. Przypieczętowała wybór

ciała amuletem dusz, zwanym Bradhej... Ale po co ja to mówię... Wyglądasz na mądrego parzystokopytnego. Tak, czas ruszać. Dobrze jest nieraz zrobić coś sam, bez patrzących na ręce zwierchników, ale to jest właśnie sprawa dla mojego cechu.

Tylko oni zarządzą tej sprawie.

Otworzył wrota i wpuścił do środka blask poranka. Przez chwilę próbował jeszcze dojeść rosół, ale ostatecznie piasek, pływający w wywarze, zniechęcił go do tego. Osiólek wraz z całym dobytkiem wyszedł na dwór, po czym skierował się do bramy. Inkwizytor udał się za nim.

W bramie zamkowej zatrzymał się jeszcze na chwilę. Spojrzał na piętro zamczyska, gdzie w oknie alkowy zobaczył ruch. Parę postaci krzątało się po komnacie.

Osiólek na progu zamku rozpogodził się nieco i zaczął wyginać kark, jakby ktoś go po nim głąskał.

– Powodzenia towarzyszu! -powiedział łowca do pustki, obok zwierzęcia. -Ktoś po ciebie przyjdzie. I to nie długo. A o Montiego się nie martw, zaopiekuje się nim.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

kledman, dodano 28.05.2012 09:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.